



Nr. 13. *Z dnia 20-go września 1903 r.*

ECHA ZAKOPIAŃSKIE.

Znany feljetonista warszawski, p. Władysław Rabski, pisał niedawno w „Kurjerze warszawskim“ o Zakopanem i ganił ostro panujące tam stosunki. Feljeton jego był komentowany w całej nieomal prasie, która uznaje, że w Zakopanem źle się dzieje. Obecnie p. Rabski wraca po raz drugi do tej sprawy i pisze:

Powaga i zasługi ludzi, którzy rozpoczęli wojnę o „bagno“, były gwarancją tak silną, że niemal cała prasa stanęła pod ich sztandarem. Zapomnieliśmy niemal wszyscy, że i ludzie wielkiej wartości umysłowej i moralnej ulegają nieraz złudzeniom i zacietrzewieniu; zapomnieliśmy, że nawet człowiek najlepszej woli zatracić może chwilami poczucie miary i uniesiony temperamentem polemicznym, przedstawić dym pospolity z komina za pożar niszczący. Zresztą protest ludzi zasłużonych przeciw komuś lub czemuś ma zazwyczaj ten skutek, że tłum ulegając urokowi wielkiego imienia, nietylko bezkrytycznie przyjmuje jego „za“ i „przeciw“, lecz zapala się łatwo, dolewa oliwy do ognia, rozdyma akt oskarżenia do potwornych rozmiarów, i wyobrażając sobie, że jakieś straszne potwory czają się w pomrokach nocy, wrzeszczy, miota się, oczernia na ślepo i każdy obłoczek chmurą gradową nazywa.

Ktokolwiek rozpatrzył się w stosunkach zakopiańskich, temu tłómaczyć nie potrzebuję, że ojczyzną białych aniołów nie jest cudne ustronie pod Giewontem. Słychać tam ustawiczne zgrzyty walki konkurencyjnej, nieraz prywata staje na drodze dobru powszechnemu, nieraz niedbalstwo i wygodne „laisser faire, laisser aller“ tamuje rozwój Zakopanego, ale to wszystko jest to dość pospolity obraz ułomności ludzkich, które niewątpliwie każdy uczciwy człowiek zwalczać powinien, ale których nie należy przedstawiać jako wyjątkowej, zagrażającej całemu społeczeństwu polskiemu potworności. Taka przesada wydaje zazwyczaj skutki wielce niepożądane i w ostatecznej konsekwencji raczej szkodę niż zysk dobrej sprawie przynosi.

Stało się to również w walce zakopiańskiej przeciw Chramcowi i jego stronnictwu. Dopóty palono pod kotłami, takie alarmy podnoszono w broszurach na wiecach i w sądach, takim hałasem wypełniano szpalty czasopism, tak nienawistnie i oszczerczo zwalczano się wzajemnie, tak bez zastanowienia małomiejską „borbę“ rozdymano do rozmiarów wielkiej sprawy narodowej, tak spragnionych ciszy i spokoju letników dręczono sykiem animozji wzajemnych, że ostatecznie odstraszono sporo ludzi od Zakopanego, i rezultat sezonu przedstawia się niepomyślnie.

Ale nareszcie przyszła chwila opamiętania. Prasa zaczęła powoli orjentować się w sytuacji, i wysławszy do Zakopanego nowych, spokojnych, nie zarażonych jeszcze atmosferą koteryjną korespondentów, zaczęła lać wodę na ogień. Z kół gości odezwały się również głosy przestrogi. Grono ludzi poważnych, zatrwożonych o los Zakopanego, a odważających ostrożnie na szalach sprawiedliwości błędy i zasługi cudze, wystosowało do dzienników odezwę, charakteryzującą prze-

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z dnia 20 Września 1903 r.

sadę polemistów i nawołującą do umiarkowanego załatwienia rachunków. Nie chodzi tu bynajmniej o maskowanie istotnych brudów i szpetności zakopiańskich, jeno o wystrzeganie się zapamiętałości i zgodny z rzeczywistością, objektywny rozkład świateł i cieni. Walczmy, ale używajmy do walki szpady, nie maczugi lub śliny. Nazywajmy rzeczy po imieniu, ale nie wrzeszczmy, że pryszczyk na nosie jest gangreną morderczą. Pogardzajmy tem, co na pogardę zasługuje, ale dla uzasadnienia i rozpowszechniania tego wstrętu nie posługujemy się plotką bezkrytyczną lub fałszem tendencyjnym. Reformujmy, ale nie upijajmy się nienawiścią wzajemną.

„Nowa Reforma“, która do niedawna jeszcze także wierzyła w istnienie „bagien“ okropnych i wraz z innemi pismami grała na surmie bojowej, dziś, udzielając gościny scharakteryzowanej powyżej odezwie, takie na czele załącza uwagi:

„Przykre zatargi natury osobistej i miejscowej, które niepotrzebnie od dłuższego czasu zajmują opinję letników zakopiańskich, prasy, a pośrednio ogółu całego, karmionego obojętnemi szczegółami walki dwóch lekarzy, wywołały oddawna reakcję u zdrowo myślących ludzi, pragnących rzetelnego rozwoju naszej perły tatrzańskiej. Ciągłe namiętne rozdrażnienie opinji wycieczkami osobistemi przeciw jednej lub drugiej z osób wspomnianych, spotykają się z coraz silniejszem potępieniem ogółu, którego sprawy te zbliska zgoła obchodzić nie mogą i nie powinny, jako wyraz osobistej animozji partykularnej.

W sprawie tej zamieszczamy poniżej pismo poważnego grona znanych i zasłużonych osobistości, które bodajby było ostatniem echem niesmacznego zatargu“.

A zatem fanfara zmieniła się w szamadę, miecz wyostrzony w różdżkę oliwną pokoju. Ludzie zaczynają nareszcie pojmować, że dotychczasowy sposób prowadzenia walki jest raczej krzywdą niż pożytkiem dla Zakopanego, i opuszczają szańce, z których lała się smoła i leciał ogień kartaczowy.

W podobnym duchu odzywa się także korespondent „Głosu narodu“, który w słowach następujących charakteryzuje rezultaty walki skandalicznej:

„Ludzie, którzy tu na lato przybywają, chcą wypoczynku i spokoju, a jeśli pragną mówić o rzeczach poważnych, jeśli rwą się do wymiany zdań, to z pewnością nie na tle tak marnem, jak intrygi miejscowe, które stały się już dokuczliwemi nawet dla przyjeżdżających tu na kilka tygodni.

A że echa tych wywodów, w połączeniu z ciągłem utyskiwaniem na zło tu panujące, przedostają się do dzienników, więc niejeden, zamiast tu cierpieć i znosić opisywane obszernie ujemne strony i dać się oplątywać intrygom małomiasteczkowym, woli na ten raz ominąć Zakopane i poszukać sobie innego, mniej zdyskredytowanego miejsca spokojnego wytchnienia. W ten sposób rozbija się „stolicę letnią“ i w tym roku znać już było mniejszą frekwencję z Królestwa.

Nie po raz pierwszy tu jestem i śmiało rzec mogę, że Zakopane nietylko się nie cofa, ale rozwija. Nie chcę przez to utrzymywać, że wszystko, co potrzeba, jest już zrobione. Przeciwnie, widzę braki, ale też widzę i usiłowania ku ich usunięciu“.

„Dziennik Polski“ ogłosił również fejleton „Po sezonie“, w którym tak ilustruje stosunki zakopiańskie:

„Na werandzie u Płonki pełno. Do mojego stolika przysiada się pan o wyglądzie artystycznym. Ruchliwy, wesoły, mowny. Na letnisku znajomość łatwa, ja podziwiam Zakopane.

— A czy pan wiesz, kto jest Chramiec?

— Wiem. Dyrektor zakładu i pensjonatu.

— Eh, ja panu powiem!

I poczciwiec, ni stąd ni zowąd, opowiada mi przez dwie godziny, jakim to sprytnym filutem jest dr. Chramiec, jak on wyzyskuje Zakopane, jak nic nie czyni dla letników, a nabija trzosy złotem i banknotami... Próżno tłómaczę, że sprawy te mało mnie obchodzą. Towarzysz prawi dalej rzeczy horendalne o „klice chramcowskiej“ i po dokładnem „wywierceniu dziury“, pyta:

— Czy pan teraz wiesz, co to za partja?

— Panie, — odpowiadam — mnie wasze partje zgoła nie obchodzą; ja tutaj przybyłem dla spokoju i odpoczynku.

— Aha! Więc pan jesteś przeciwnikiem Janiszewskiego i Witkiewicza. Dobrze! My panu pokażemy!...

I nie skłoniwszy się, przyjemny towarzysz odchodził. Mam w nim nieprzejednanego wroga.

Dalej opowiada korespondent, jak kubek w kubek podobna scena spotkała go w hotelu pod Giewontem i cytuje żale jednego z letników warszawskich:

— Pan szambelan coś chmurny. Czy niezdrów?

— Zirytowany jestem, kochany panie.

— Czem?

— Tem, że z Zakopanego, które przez lata było najcichszym, uroczym zakątkiem dla ludzi, szukających wypoczynku, z tego Zakopanego, gdzie spotykaliśmy się wszyscy na wiec myśli i uczuć — dzisiaj uczyniono jakąś targowicę i swarnię publiczną, że człowiek, zamiast spokoju, słyszy tylko dokoła ciągłe intrygi, wyzwiska, plotki i echa procesów. Te wiece gości, uchwały, memorjały, broszury i paszkwile, których niepodobna nie widzieć, nie słyszeć i nie odczuwać, rozstrajają człowieka i zniechęcają do pobytu.

— A jednak pan szanowny przybył także na sezon obecny.

— Przybyłem, bo nawykłem od lat dwunastu. Ale rozejrzyj się pan ilu nas, stałych gości z Królestwa, braknie w tym roku.

— Z jakiego powodu?

Daję panu słowo honoru, że przedewszystkiem

z powodu waśni i intryg, jakie zatruwają tutaj pobyt ludziom poważnym. Znam osobiście i żyję z przeważną liczbą tych, co tu byli z Warszawy. Wszyscy na pytanie moje odpowiadali, że Zakopane zniechęciło ich swojemi niesnaskami wewnętrznemi, i dla tego nie jadą".

Te cytaty wystarczą chyba dla scharakteryzowania sytuacji obecnej. Zgodne są one najzupełniej poglądami o stosunkach zakopiańskich, i bodaj ta w najuczciwszej tendencji podjęta akcja publicystyczna wydała jaknajrychlej zdrowe owoce, kojąc wzburzone namiętności ludzkie! Nie chodzi o zaniechanie krytyki i polemiki, lecz o sąd trzeźwy i rzeczowy.

CZTERY DNI W TATRACH

(FRAGMENT Z WYCIECZKI)

NAPISAŁ BRONISŁAW ROMANISZYN.

Wkrótce stanęliśmy na przełęczy Wagi. Widok stąd dziwnie dziki i malowniczy, zwłaszcza w stronę ginącej gdzieś w obłokach Wysokiej i przepaściami ziejącego „dziewiczego" Ganku. Pod nami, w dolinie Mięguszowieckiej drzemią Stawy Żabie.

Ruszamy ku dolinie Mięguszowieckiej. Droga nasza prowadzi przez ogromną ławicę śnieżną, mającą napewno kilkaset metrów długości. Korzystając ze znacznego jej spadku, postanowiłem puścić się „konno na ciupadze". Niezmiernie interesująca ta jazda nie przedstawiała żadnego prawie niebezpieczeństwa, gdyż przy pewnej wprawie można się taką jazdą w tem miejscu zupełnie bezpiecznie posługiwać, a do tego spadek w dolinie łagodnieje, tworząc ogromne pole śniegowe.

Niedowierzająco kiwał głową P. W., widząc moje przygotowania do tej wspaniałej jazdy. Z wielkim trudem udało się mi go do niej nakłonić. Pierwszy dałem przykład. Wbiłem ciupagę w śnieg, siadłem na niej, jak na konia i zsunąłem się w dół z bajeczną szybkością, hamując ją za pomocą obcasów i ciupagi, która głęboką bruzdę na śniegu rysowała. Pp. W. i M. poszli za moim przykładem i zaczęła się wśród gorącego sierpniowego dnia pyszna „sanna". Wiatr świstał koło uszu, a wzmagająca się zrazu pochyłość, zwiększała szybkość. Z błyskawiczną szybkością zjechaliśmy na dół, minęliśmy nawet rozległe, zupełnie poziome pole śniegowe i zatrzymaliśmy się aż na upłazach.

Jazda po śniegu należy do tych „przyjemności" w Tatrach, które, im więcej się ich używa, tem więcej nęcą. Kto raz jej spróbował, nie zaniedba przy pierwszej sposobności z niej skorzystać. Ale jak wspomniałem, taką jazdą można się posługiwać przy pewnej wprawie i w możliwych ku temu miejscach, gdyż zresztą może być takie zjeżdżanie po śniegu bardzo niebezpieczną brawurą.

Minęliśmy kilka skalistych tarasów (górale nazywają je: „bulami") i stanęliśmy nad dwoma stawami Żabiemi. Znalazło się tu trochę kosówki, więc Maciej zabrał się do gotowania herbaty. Usiedliśmy dookoła ogniska, wpatrzeni w białe obłoki dymu spieszącego gdzieś w turnie. Panowała niewypowiedziana cisza, przerywana od czasu do czasu trzaskiem palącej się kosodrzewiny. Gdzieś w Siarkańskiej turni odezwał się na krótko ponury i złowrogi łoskot staczających się w przepaść urwanych skał — w Mięguszowieckich turniach zawtórowało echo.

Od Wagi zerwał się wiatr i spadł na nas w dolinę, owionął nas chłodem, pokręcił dymem w ognisku i popędził bujać po turniach.

Na chwilę przestał, by z większą siłą się zerwać. Siedzieliśmy wpatrzeni w Tatry. Pustka była koło nas, życia nie było wokoło, jakby wymarło, a jam tyle dźwięków słyszał. Tuż koło mnie cisza dzwoniła tajemniczą i nieuchwytną pieśń. Tłumił ją trzask ogniska. Od czasu do czasu przeleciał wicher, wyjąc żałośnie, jakby się skarżył, że mu te turnie stoją na drodze i przeszkadzają bujać w niezmierzonych przestrzeniach.

I wyje tu ten wicher i niesie swą skargę od czasów niepamiętnych. Wył, gdy ludzie niezapuszczali się jeszcze w te krainy śmierci, wył podczas wypraw myśliwskich kłusownikom, jakby gromił za zamordowane kozice. Witał i usypiał strudzone zastępy turystów z Chałubińskim ułożone przy watrze do snu. Zawodził swą żałosną pieśń, trącając lekko strun gęśli Sabały — illustrował swą muzyką jego opowiadania i przygody myśliwskie — opowiadane w nocy przy ognisku. A teraz, gdy w jego krainach ludno i gwarno, ucieka w turnie i tam zawodzi swą żałosną nutę.

Słuchałem tej pieśni wielkiej. I widziałem przesuwające się obrazy ginące w przeszłości, czułem w tym zimnym wichrze żar ognisk palonych przez Chałubińskiego, słyszałem opowiadania i baśnie Sabały, widziałem wielkie Tatry, jeszcze więcej puste, dzikie, groźne, dziewicze...

* * *

Herbata była już gotowa. Jak smakuje ten napój w górach, o tem tylko ten wie, kto zmęczony całodziennym marszem sam pod nią w górach ogień nakładał, sam gotował, pił. Popijając her-

batę, przyglądałem się stadku kozic, które pędziły spłoszone widocznie ludźmi na Wysokiej, po strasznych przepaściach w dół po Siarkańskiej turni.

* * *

Czas iść dalej. W górnej swej części dolina Mięguszowiecka nie przedstawia nic szczególnego. Podobna jest do każdej innej doliny, leżącej w najwyższym dziale Tatr i tak jak one, gnębi umysł niemą tragedją spustoszenia.

Ale jakże się widok zmienił, gdy minąwszy głazy i skały, weszliśmy w lasy kosodrzewiny i limb, gdy przed nami zasiniała ponad lasy dal równin węgierskich. Kryształowy potok wrzyna się w skały i jary, przystrojone w drzewa, kąpiące swe gałęzie w przeźroczystej wodzie i wpada pędem gwałtownym w wąskie o wysokich brzegach koryto granitu, tworząc co chwila nie wielkie ale prześliczne kaskady. Po bokach wryły się w skały malownicze grupy limb, pełne dzikiej fantazji, a jakby ręką umiejętnego ogrodnika poety sadzone. Zachodzące za wyniosłe granie gór słońce rzuca swe różowawe promienie na drżące liście, sperlone kropelkami wodospadów i r zbija się w nich na tysiące tęcz drobnych. Już nawet ćwierkanie jakiegoś ptaszka nieśmiało odzywa się wśród huku kaskady i cały obraz, pełen krasy życia i wesołości, uśmiecha się do wędrowca z skał i śniegów, marzycielsko i oblewa duszę jego dziwnym rodzajem szczęśia pełnego, niewytłumaczonej tęsknoty. A tu, obok tej romantycznej sielanki, poza grupami drzew, wystrzeliły ku niebu nagie, dzikie, poszarpane wieżyska, Baszty i Szatana, Osterwy i Żelaznych wrót.

Wstąpiwszy nagle z ruiny i rumowiska do tego zaczarowanego zakątka, nie mogłem się oderwać od jego widoku i jakby wpółsenny powtarzałem słowa Tetmajera:

O halo górska! Oczy omdlały z zachwytu,
Twój widok roześpiewi duszę i roześni
I marzyć na twem łonie zielonem bezkreśniej,
Niż tam — na czole skalnej piramidy szczytu.

Tu oczy obróciwszy ku złotemu słońcu
I ku białym obłokom na błękitnem niebie
Można świata zapomnieć i zapomnieć siebie.

Utopić duszę całą w wód i lasów szumie
I w tej upajającej, bezkreśnej zadumie
Chcieć śnić do życia końca i po życia końcu...

(C. d. n.)

KRONIKA.

Towarzystwo Tatrzańskie otrzymało nową skrzynkę pocztową dla Dworca Tatrzańskiego. Skrzynka została umieszczona obok tablicy z ogłoszeniami.

Odczyt. W sali Zakładu dra Chramca we wtorek dnia 15 września o godz. 8 wieczorem pan Mieczysław Geniusz, inżynier z Egiptu wygłosił odczyt na korzyść uniwersytetu Mickiewicza w Szwajcaryi.

Prelegent rozwijał w odczycie swoim poglądy prof. Lutosławskiego.

Ze sprzedaży biletów i broszurek, zebrano na rzecz Uniwersytetu około 400 kor.

Z rady gminnej. W sobotę 12 bm. odbyło się posiedzenie rady gminnej zakopiańskiej. Uchwalono pokryć z funduszu gminnego, regulacyjnego wydatki wykupna gruntów pod drogę do Sanatorjum (Kościelisk) w sumie 1698 koron, natomiast polecono naczelnikowi gminy, prosić Wydział krajowy o uwolnienie gminy od płacenia 400 koron wydanych na materjał do budowy tejże drogi użyty. Postanowiono wystarać się w Radzie powiatowej o prawa i przywileje dróg i mostów, gminnych II. klasy dla przejazdów na Gładką, do Ciągłówki i do Królów, aby tym sposobem uwolnić właścicieli tych przejazdów używających od ciężaru utrzymywania mostów własnym kosztem, zwłaszcza, że owe przejazdy i mosty służą wszystkim do przejazdu i zawsze były z funduszów gminnych utrzymywane.

Rada przyjęła do wiadomości zarządzenie naczelnika gminy w sprawie kollaudacyi nowo postawionego mostu na potoku Foluszowym, w rynku, który naczelnik gminy kazał przedsiębiorcy przebudować według planu, gdyż most ten źle został ustawiony, bo obniżono jego zachodni bok o 1·20 mtr. ku północy.

W sprawie szpitala zakopiańskiego, uchwaliła rada oddać do rozpatrzenia postawione jej pytanie zmiany własności komisji administracyjnej i skarbowej. Komisja klimatyczna proponuje radzie gminnej, aby rada jej własność szpitala przyznała, za co przyjmie komisja na siebie obowiązek utrzymywania raz na zawsze tak szpitala, jak i domu izolacyjnego.

Rada gminna w obawie, aby mimo to nie ciążył na niej obowiązek budowy domu izolacyjnego, zwłaszcza, że gmina w r. 1899 dom izolacyjny dla chorób zakaźnych wybudowała, a zarząd jego został jej odebrany, i dom ten bez wiedzy gminy na szpital został przeistoczony, otóż rada chroniąc swoje prawa, poleciła naczelnikowi gminy łącznie z komisją administracyjną i skarbową, dokładnie

sprawę tę opracować i wnioski swoje przedstawić na następnem posiedzeniu rady.

Rada wybrała członkiem komisji drogowej p. Jana Mielocha w miejsce uwolnionego od tych obowiązków dra Tomasza Janiszewskiego. W końcu poleciła rada naczelnikowi gminy szczególniejszą opiekę nad uzyskanemi parcelami gminnemi w uregulowanym potoku Bystry, które to parcele powinny być przez geometrę, jako gminne, w mapie katastralnej uwidocznione.

W sprawie petycji p. Piotrowskiego i akuszerki gminnej Stachoniowej na tajnem posiedzeniu postanowiono odmówić petentom, i życzeń ich nie uwzględniono.

Początek kanalizacji w Zakopanem. W Zakładzie dra Chramca rozpoczęto budowę kanalizacji spławnej (Vollsystem), celem odprowadzenia kanałami treści kloacznej, wód użytkowych i opadowych, atmosferycznych. Inżynier Wydziału krajowego p. A. Kornella zaprojektował przytem sposób osuszenia wszystkich ogrodów Zakładowych, przyczem dreny znajdą upust w kollektorach kanałowych. Wylot rur kanałowych sprowadził dr Chramiec na łąki, które oddalone od zabudowań, będą bez szkody dla sąsiadów irygowane treścią kanałową.

Niechże to stanowi piękny przykład, jaką drogą można także w Zakopanem propagować idee inwestycyjne, a równocześnie niech będzie odpowiedzią na owe liczne oszczerstwa rzucane na dra Chramca, jakoby on był wrogiem wodociągów i kanalizacji. Wodociągi ma już bowiem od 15 lat, a kanalizację ukończy u siebie jeszcze w bieżącym roku.

Zakopane jest tak rozległe i ma tak różnorodne warunki budowlane, że np. o kanalizacji, o systemie jednolitym dla całej wsi, nie może tu być mowy.

W większej części domów możliwe są tylko doły kloaczne, i ten system został jako obowiązujący przez gminę uznany; wiele atoli domów nie może się do niego zastosować, np. ulica Kościeliska, okolica Skoczysk o podkładzie łupkowym a częściowo torfiastym i moczarowatym, powinna być najpierw osuszoną, a potem dopiero można tam zastosować system dołów.

W tych samych warunkach znajduje się Bystre i część Krupówek.

Obok prywatnych usiłowań w kierunku kanalizacji spławnej, może Wydział krajowy bardzo łatwo wybudować całą sieć kanałów — (głównych kollektorów) — pod ulicami Zakopanego, nie zużywając wcale na ten cel specjalnie przeznaczonych funduszów, tylko zużytkowując pieniądze przeznaczone rok rocznie na konserwację dróg gminnych.

Niech posłuży za przykład fakt następujący: Dnia 11-go b. m. odbyła się tu komisja kolejowa badająca sposób odwodnienia dworca kolejowego. Powołane czynniki z krajowego biura kolejowego przedstawiły plany odwodnienia takie, które nikogo nie zadawalniały, nawet projektantów, bo oni sami stwierdzili, że tylko część wód ze stacji odprowadzić chcą w tej chwili, a resztę chcą osuszyć na podstawie nowego projektu.



WIEŻA PIASTOWSKA W CIESZYNIE.

Dworzec kolejowy dotyka ulicy Chramcówki. Koszta osuszenia dworca przeniosą sumę 16.000 koron. Za tę sumę można pod ulicą Chramcówki wybudować pierwszy, wspaniały kollektor, który niechby z początku służył dla osuszenia dworca kolejowego, a w przyszłości mógłby być jedną z arterji kollektorów ogólnej zakopiańskiej kanalizacji!

HOTEL BABILON

PRZEZ ARNOLDA BENETT'A.

(Ciąg dalszy).

— Czyż nie mówiłem już panu — rzekł — że poddaję się spokojnie losowi memu?

Racksole był jakby zawstydzony; widział, że nawet człowiek występny może zachować się z godnością.

— Co za szaleniec z ciebie! — rzekł, zatrzymując kuchmistrza na progu — tak zdolny, utalentowany; co ci była za potrzeba mieszać się do tego rodzaju intryg! Jesteś zgubiony, a przysięgam na Jowisza, mogłeś stać się znakomitością w twej sztuce.

— To najtrafniejsze zdanie, jakie wypowiedziałeś pan w ciągu dzisiejszego wieczoru! — zawołał Rocco. — Mogłem być zmakością, a popełniłem szaleństwo.

— Czemużeś tak postąpił?

— Byłem pod wpływem... pod urokiem Juliana. On także jest niepospolitym człowiekiem. W hotelu Babilon mieliśmy obszerne pole działania. Gra hazardowna, ale stawka wysoka. Warto było za tę cenę nastawić karku. Sam przyznałeś to, gdybyś pan sprawę znał bliżej. Może kiedyś dowiesz się o wszystkiem; masz pan umysł bystry i lubisz dochodzić jądra rzeczy Tak jest, byłem oślepiony, zahypnotozowany.

— I to cię zgubiło.

— Nie zgubiło jeszcze, nie. Za parę lat papiery moje pójdą znowu w górę. Człowiek genialny, jak ja, nie może uważać się zgubionym, póki mu starczy życia. Genjusz zyskuje zawsze przebaczenie. I mnie przebaczą również. Przypuszczam, że zostanę skazany na więzienie; potrafię uciec z niego; nie jestem ptaszkiem, nadającym się do trzymania w klatce. Będę znowu tym samym Rocco, znakomitym Rocco. Połowa hoteli w Europie ubiegać się zacznie o moje usługi.

— Pozwól sobie powiedzieć szczerze, że sam winien jesteś swemu upadkowi. Usprawiedliwić nie możesz się niczem.

— Wiem o tem — rzekł Rocco. — Schodźmy, nie ociągając się dłużej.

Na Racksola silne wrażenie wywierał ten człowiek, obdarzony tak wielkiemi zdolnościami, któremu płacić miał trzy tysiące funtów szterlingów rocznie. Żal mu go było szczerze. Jeden obok drugiego: sędzia i winowajca, szli przez korytarze hotelu, dążąc do głównej sieni, Rocco przystanął przy kracie, zamykającej windę.

— Zamknięta — rzekł Racksole — musimy zejść po schodach.

— Mam klucz; zawsze noszę go przy sobie — odparł Rocco, otwierając na oścież kratę.

Racksole uśmiechnął się, patrząc na jego niezachwiejną pewność siebie.

Niech pan wejdzie pierwszy — zapraszał Rocco i złożył pełen uprzejmości ukłon, gdy milioner stanął na windzie.

Z szybkością błyskawicy kuchmistrz zatrzasnął żelazne drzwi, zamykające się automatycznie. Teodor Racksele był bezbronnym więźniem w klatce, podczas gdy Rocco stał wolny na schodach głównej sieni.

— Żegnam pana, panie Racksole! — rzekł filut. — Przykro mi nadużywać zaufania pana w ten sposób, ale sam pan przyznasz, żeś postąpił nierozważnie. Jesteś rozumnym i bystrym człowiekiem, jak już miałem zaszczyt ci to powiedzieć, ale bystrość twoja dochodzi tylko do pewnego punktu. Spryt mój zaś sięga dalej. Żegnam raz jeszcze. Co prawda, nie użyję wypoczynku tej nocy, lepiej jednak wyrzec się snu na jedną dobę, niżeli nocować w celi więziennej Narobiwszy dużo hałasu, mógłby pan zbudzić kogo i zwolnić się z przymusowego zamknięcia. Radzę panu jednak czekać spokojnie do rana, ratując tym sposobem powagę pańskiego stanowiska.

Po tych słowach Rocco powolnym krokiem przeszedł przez sień i zniknął za drzwiami.

Racksole nie wyrzekł ani słowa; był niezadowolony z siebie. Zacisnął gniewnie pięści, zagryzł wargi i milczał. Wśród panującej dokoła ciszy słyszał szelest stąpań Rocca po miękkim dywanie. Doświadczał najcięższej w życiu przykrości.

Nazajutrz rano dostojni goście hotelu Babilon zdumieni byli pogłoską o przypadkowem przez właściciela spędzeniu nocy na windzie. Mówiono również, że Amerykanin pokłócił się z kuchmistrzem i że ten ostatni porzucił bezzwłocznie spełniane w hotelu obowiązki. Goszcząca naówczas księżna utrzymywała, że wydalenie Rocca zapowiada upadek całego zakładu, co słysząc mąż jej, radził, aby nierozgłaszała niedorzecznych wieści.

Racksole zaraz rano posłał po ajenta policji, śledzącego sprawę zabójstwa Dimmocka i wyznał mu szczerze wypadki ubiegłej nocy. Takie wyznanie było ciężką próbą dla miłości własnej milionera.

— Dziwna historya! zauważył detektyw, nie mogąc ukryć uśmiechu — nieszczęśliwy zbieg okoliczności; zyskał pan jednak świadomość ważnych faktów.

— Ja sam natrafiłem na pewne poszlaki — ciągnął ajent. — Wybierałem się właśnie do pana, gdy nadszedł posłaniec. Zechciej pan towarzyszyć

mi w jedno niedalekie miejsce. Czy moglibyśmy udać się tam zaraz?

— Bardzo chętnie towarzyszyć panu będę — odparł Racksole.

W tej chwili wszedł chłopiec i podał gospodarzowi telegram. Miljoner przeczytał w nim słowa: „Przybywaj natychmiast. Ostenda, hotel Wellington.

Nella“.

Amerykanin spojrzał na zegarek.

— Nie mogę iść z panem — oświadczył ajentowi. — Jadę do Ostendy.

— Do Ostendy?

— Tak jest; bezzwłocznie.

— Mój interes, panie Racksole, jest bardzo naglący — protestował detektyw.

— Mój niemniej pilny — odparł miljoner.

W dziesięć minut potem Amerykanin jechał już na dworzec Victoria.

XV.

Jaki był koniec przygody na yachcie.

Musimy podążyć teraz do Nelli Racksole i księcia Ariberta von Rüdesheim, pozostawionych przez nas na yachcie bez nazwy. Książę zajął się przedewszystkiem ubezwładnieniem Juljana vel Tomasza Jackson. Jakkolwiek bowiem rzeczony pan Jackson leżał bez czucia na pomoście i nabił sobie guza za uchem, nie było można przewidzieć, czy odzyskawszy przytomność, nie popadnie w szał gniewu i nie zechce być niebezpiecznym. Aribert więc nałożywszy mu pęta na ręce i nogi, przywiązał go do masztu.

— Mam nadzieję, że nie umrze — odezwała się Nella — twarz mu tak pobladła!

— Tacy Jacksonowie na naszym padole płaczu nie umierają, póki ich nie powieszą — rzekł sentencjonalnie książę. — Z tem wszystkiem dziwię się, iż ktoś z załogi nie stanął w jego obronie. Może obawiają się mego... raczej powiedzieć należy pani rewolweru.

Oboje spojrzeli na obojętnego na wszystko sternika, zajętego wyłącznie kierowaniem statku. Byli już oddaleni o parę mil angielskich od wybrzeża Belgji.

Przemawiając po francusku, książę rozkazał sternikowi, aby zawrócił do przystani w Ostendzie, ale człowiek ów pozostał głuchym na rozkaz Ariberta; dopiero pod grozą rewolweru zaczął mówić napół francuskiem, napół flamandzkiem narzeczem. Dowodził, że mu Juljan zabronił surowo porozumiewania się z kimkolwiek, bez względu na mogące zajść wypadki. Był kapitanem statku, który miał doprowadzić do jednego z portów w Anglji, ale nazwy portu wyjawić nie chciał. Wydawał się silnym, pełnym stanowczości mężczyzną i książę sam nie wiedział, jak postąpić z nim wypadało. Chciał ściągnąć od niego więcej szczegółów, zadawane jednak pytania wprawiały sternika w coraz gorszy humor. Daremnie książę tłómaczył mu, że panna Helena Racksole, córka miljonowego Amerykanina Racksola, została przez Jacksona przemocą porwana, daremnie groził rewolwerem, gburowaty lecz odważny kapitan odpowiadał, że go to nic nie obchodzi, że otrzymał rozkazy, które wykonać musi, a nawiasem wspominał, iż na yachcie władza w jego spoczywa ręku.

— Nie radbym go życia pozbawiać — mówił książę do Nelli. — Może przestrzelić mu nogę kulą, lub czemś podobnem zmusić do uległości.

— Byłoby to ryzykowne a karą zbyt ciężką dla biednego kapitana za jego niezachwianą obowiązkowość. Przytem mogłaby się zwrócić przeciw nam cała załoga — zauważyła Nella. — Musimy obmyśleć inny środek ratunku.

— Gdzież ta załoga podziewać się może? — zagadnął książę.

W tej chwili skrępowany postronkami Jackson zaczął odzyskiwać zmysły. Otworzywszy oczy, rozglądał się nieprzytomnie dokoła. W końcu wzrok jego padł na księcia, który przystąpił do niego z rewolwerem w ręku.

— To pan! — szepnął Juljan osłabionym głosem. — Co książę tu robisz na statku? Kto mnie tak spętał nielitościwie?

— Słuchaj! — zawołał Aribert. — Nie będę z tobą wdawał się w dysputy, oświadczam tylko, że statek musi powrócić do Ostendy, gdzie zostaniesz wydany władzom policyjnym.

— Takeś pan zadecydował?... — szydził Jackson, i zwracając się do sternika, dodał po francusku: — Andrzej! wsadź tych dwoje do łodzi.

Trudne było położenie. Posiadając tylko rewolwer Nelli, książę nie wiedział, czy ma żądanie swoje poprzeć użyciem broni, czy też godzić się z koniecznością, ratując, o ile można, godność osobistą.

— Siadajmy do łodzi — nalegała Nella. — W godzinę czasu dopłyniemy do wybrzeża.

Aribert uznać musiał, że młoda dziewczyna ma słuszność. Wprawdzie opuszczanie w ten sposób statku było upakarzającem i zapewniało bezkarność nikczemnemu Jacksonowi. Cóż jednak zrobić mogli książę i Nella? Nie znali sił nieprzyjaciół, a jakkolwiek głównego herszta trzymali w więzach, on dowiódł, że nawet spętany, mógł rozkazywać drugim. Zakneblowanie ust nicponiowi nie wiele pomogłoby, skoro kapitan nie chciał uparcie zmienić kierunku drogi.

— Wejdziemy do łodzi — oświadczył książę.

Rozległ się głos dzwonu i zaraz potem ujrzano na pomoście majtka wraz z młodym Murzynem. Statek stopniowo zwalniał biegu, wreszcie stanął na miejscu. Łódź spuszczono, a gdy książę wraz z Nellą gotowali się wsiąść do niej, Jackson, przywiązany ciągle do masztu, pożegnał młodą dziewczynę słowami:

— Do widzenia! spotkamy się niebawem.

Łódź wiosłem odepchnięto od yachtu, który zaraz popłynął dalej. Zanim statek znikł z przed oczu Ariberta i jego towarzyszki, ujrzeli przy sterze Jacksona, uwolnionego z więzów; chustką do nosa przysłaniał ucho i spoglądał z szyderczym

uśmiechem na samotnie pozostawionych na morzu przeciwników. Julian po raz pierwszy w życiu został pokonany, raczej po raz pierwszy poniósł porażkę, ludzie bowiem tego jak on gatunku pokonać się nie dają. Dowodem sprzyjającego szczęścia było, iż w chwili, gdy go złapano na gorącym uczynku ciężkiego przestępstwa, on zdołał dokonać trudnej do wyśledzenia ucieczki.

Morze, odbijając w wodach swoich błękit nieba, kołysało zwolna łodzią. Mgła poranna ustąpiła, a wybrzeża Ostendy ukazały się w niewielkiej odległości. Biała kopuła „kursalu“ połyskiwała na słońcu; widać było dym parowców stojących w przystani. Łodzie rybackie o ciemnych żaglach powracały gromadnie z nocnego połowu. Na wybrzeżu ciągnęły się sznurem różnokolorowe łazienki gości kąpielowych. Życie zdawało się iść biegiem normalnym, a książę i Nella zapominali prawie, że brali czynny udział w niezwykłych wydarzeniach, zaszłych w ciągu minionych godzin. Yacht widziany w oddali, świadczył, że owe wydarzenia nie były snem ułudnym, jak nie było również ułudą groźne oblicze człowieka, stojącego ciągle przy sterze.

— Prawdopodobnie zdumienie i niemoc przeszkodziły Juljanowi w dochodzeniu, jakim sposobem dostałem się na jego statek — rzekł książę, biorąc za wiosło.

— W rzeczy samej, ja również dowiedziełabym się tego rada — mówiła Nella z ożywieniem.

— Zacząć musiałbym od początku; to zabrałoby dużo czasu. Może lepiej opowiadanie moje odłożyć do chwili, kiedy znajdziemy się na lądzie.

— Będę wiosłowała, a pan mów zaraz — nalegała Nella.

Uśmiechnął się do niej słodko, ale nie chciał oddać wiosła.

— Czy nie wystarcza pani, że jestem teraz obok ciebie?

— Nie przeczę; obecność pana stanowi dla mnie rękojmię bezpieczeństwa — odparła młoda dziewczyna — niemniej pragnę dowiedzieć się o wszystkiem.

— On, bijąc wiosłem wodę, posuwał zwolna łódź ku przystani. Nella siedziała na przodzie.

— Brak nam rudla — zauważył. — Pani oznaczać mi będzie kierunek właściwy. Morze przybiera silnie, to nam ułatwi dostanie się do lądu, a ludzie na wybrzeżu przypuszczać będą, że wracamy z rannej przejażdżki.

— Zechciej pan łaskawie powiedzieć, jakiemu zbiegowi okoliczności zawdzięczam fakt, żeś pan mógł uratować mi życie? — dowiadywała się Nella.

— Uratować ci życie, panno Racksole?... Nie przysądzam sobie tej zasługi; powaliłem tylko hultaja na ziemię.

— Powtarzam, że wybawiłeś mnie pan od śmierci. Nikczemnik nie byłby się cofnął przed niczem. Czytałam to w jego oczach.

— Jesteś pani dzielną kobietą; nie zdradziłaś obawy, śmiało stawiałaś czoło niebezpieczeństwu.

Wpatrywał się w nią z uwielbieniem; wiosło bezczynnie zawisło mu w ręku. Młoda dziewczyna marsem na czole objawiła zniecierpliwienie.

— Tak złożyło się — rzekł — żem panią zeszłej nocy widział jadącą w powozie. Co prawda, nie miałem odwagi z niemiłem doniesieniem jechać do Berlina. Zatrzymałem się w Ostendzie, aby tam na własną rękę czynić poszukiwania. Los mi sprzyjał, skoro panią spotkałem. Pogoniłem za dorożką i widziałem cię wchodzącą do owego nieszczęsnego domu. Wiedziałem, że to siedziba Juljana; domyśliłem się celu podróży pani bałem się o ciebie. Szczęściem miałem sposobność dom ten obejść dokoła; przekonałem się, że jest do niego drugie wejście z małego podwórka. W ten sposób mogłem stanąć pod oknem pokoju, w którym rozmawiałaś z panną Spencer. Słyszałem wszystko, coście mówiły. Akt to był wielkiej odwagi z pani strony, jechać za niecną kobietą do Ostendy.

Czytelnie. 1) Klimatyczna czytelnia czasopism, w biurze Komisji klimatycznej, otwarta cały dzień, bezpłatna.

2) Wypożyczalnia w księgarni Zwolińskiego.

3) Czytelnia czasopism i wypożyczalnia książek Stowarzyszenia „Czytelnia Zakopiańska“, willa Polanka obok poczty. Dla członków bezpłatna, dla obcych abonentów za opłatą 3 Kor. miesięcznie. Cały dzień otwarta.

Poczta otwarta od 8-ej rano do 12-ej w poł. i od 2-ej do 6-tej popoł., w niedzielę od $8^1/_2$ do $11^1/_2$ rano i od 3 do 4 popoł. W niedzielę i święta w godzinach popołudniowych nie można nadawać przesyłek pocztowych i ani odbierać, ani nadawać przekazów pieniężnych. **Telegraf** otwarty jest od 7-ej rano do 9-ej wieczór bez przerwy. **Telefon** funkcyonuje w tych samych godzinach, co i telegraf. **Listy roznoszone są** o 8-ej rano i 4-ej popoł. **Paczki rozwozi się** o 8-ej rano i o 4-ej południu. Za rozwożenie paczek pobiera się opłatę: od paczki do $1^1/_2$ kg. 6 hal., do 5 kg. 10 h. do 10 kg. 20 hal, nad 10 kg. 30 hal.; jeśli jest kilka paczek bierze się jedną należytość od najcięższej, a od reszty po 6 hal. bez względu na wagę.

Ruch pociągów zakopiańskich.

Odchodzą z Krakowa do Zakopanego: . .	o 10 min. 25 rano o 11 min. 40 wieczór.
Przychodzą do Zakopanego: . .	o 7 min. 5 rano. o 4 min. 5 po poł.
Odchodzą z Zakopanego do Krakowa: . .	o 9 min. 20 rano o 4 min. 35 po poł.
Przychodzą do Krakowa: . .	o 2 min. 36 po poł. o 11 min. 5 wieczór.
Odchodzą z Zakopanego do Lwowa przez N. Sącz i Tarnów: . .	o 9 min. 20 rano.
Przych. do Lwowa: . .	o 2 min. 31 po poł.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. **Redaktor odpowiedzialny:** Dr Antoni Beaupré.

Druk W. Korneckiego w Krakowie.